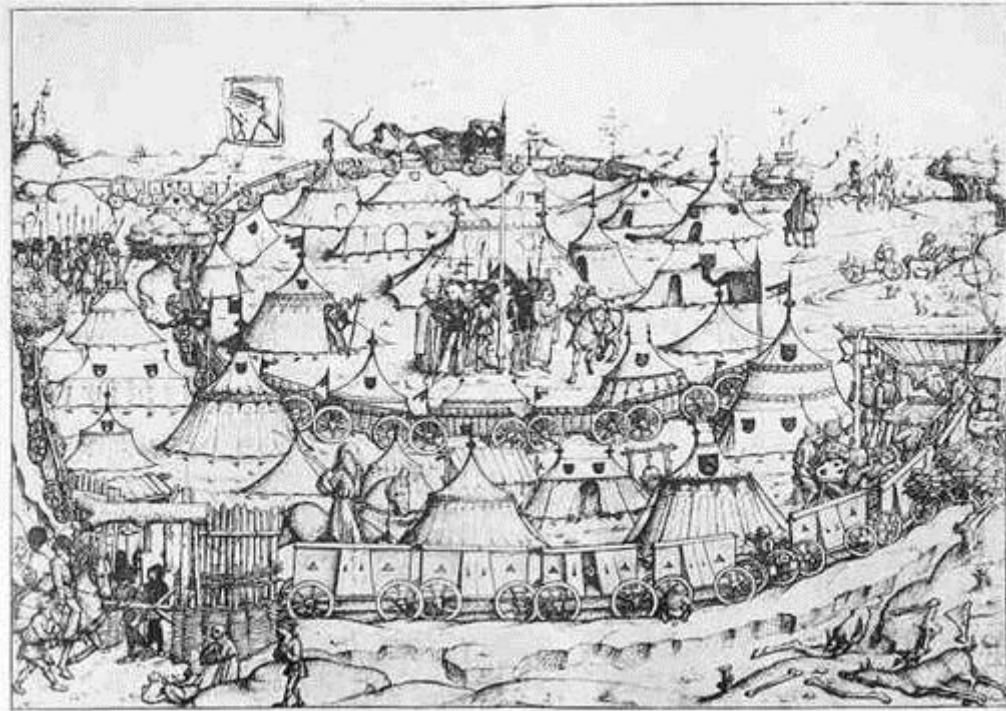


Bębniarze. Część III: Tajemnica zmarszczonych brwi kobiety

Do namiotu zdziesiątkowanych kadetów zagląda ich kapitan. Nieoczekiwanie dzienny morderczy instruktor nocną porą objawia się jako zatroskany, ciepły protektor...



Bębniarze. Część III: Tajemnica zmarszczonych brwi kobiety

Wieczorem, po kolacji, którą stanowiły placki z miodem i serem kozim, nastroje w namiotach panowały mieszane. Owszem, niektórzy bębniarze byli w nastroju całkiem radosnym. Fakt, że przetrwali pierwszy dzień szkolenia, kazał im sądzić, że są bębniarzami niebiańskich mocy i talentu.

Wielu jednak łkało w poduszki wplecione z ratanu, wielu tkwiło w kamiennych kuckach...

Ja i moi towarzysze próbowaliśmy zagrać w pokera kamieniami, ale nic z tego nie wyszło. Ręce nam drżały – połowa wciąż „bębniła”, do rana zresztą – poza tym Padyzz oszukiwał; grał znaczonymi kamieniami.

- E tam, pogadajmy lepiej, moi mili – rzekł Defirr, który miał skórę tak delikatną, że nawet muśnięcie jej połą płaszcza wywoływało krwiaki. – Co myślicie o tym wszystkim?

- Wojnę wygramy – zawyrokował Wuruk beznamiętnie. Nigdy nie widziałem, by zdradzał jakiegokolwiek emocje. – Oczywiście otwartą sprawą jest, ilu z nas przejdzie szkolenie.

- Jesteśmy co prawda na półmetku... – wymruczałem, słysząc w głowie słowa ojca.

I matki zresztą.

Kosze ci trzeba wypłatać. I łubianki.

- Zagrajmy w bierki może, co? – zaproponował Padyzz trochę nerwowo.

- Na pewno grasz znaczonymi – wyszczerzył zęby Liklik, który był z nas najodważniejszy, a przy tym chełpił się platynowymi włosami, sięgającymi pośladków.

Podczas ćwiczeń zauważyłem, jak „Agrest” Lugolodl przystawił kuszę do jego pleców, po czym ją opuścił z wahaniem. Być może to właśnie niezwykle włosy Liklika ocaliły mu skórę.

Nie miałem ochoty na gry w znaczone bierki. Wolałem myśleć o bitwie.

Trening był surowy, lecz rzeczywiście działał.

Jakoś przestałem bać się owiniętych w jelita Olagardczyków i wybijania rytmów w najkrwawszym kotle.

Przeciwnie. Moje oszołomienie ustępowało pola żądzы walki i dołożenia wrogom.

Myślałem o bębnie. Czułem głód bębna.

- Udark chyba tęskni za narzeczoną – mrugnął okiem Liklik, uśmiechając się do mnie.

- Masz jakąś? – zaciekał się Kuczma, który ożenił się tydzień przed wybuchem wojny. – Pocałowałaś ją chociaż? Pogładziłeś po łydkach? Bo...

W tym momencie do namiotu wszedł nasz instruktor. Natychmiast zapadła cisza godna grobowca tysiącletniego.

Kapitan Mogorf stanął na środku i potoczył baczny wzrokiem po leżących tudzież kucających na matach bębniarzach. Niespodziewanie westchnął i uśmiechnął się ciepło. Ciepłym też głosem rzekł:

- Moi synkowie, dzieciaczki-owieczki... Nie gniewajcie się za moje surowe komendy i próby odporności waszej. To jest potrzeba chwili. Albowiem w waszych rękach leżeć będzie pojutrze los króla i całego kraju. W pole takiej próby mogą wyjść tylko najtwardsi z twardych. A ja wierzę, że wy tacy właśnie jesteście. Jutro znów będę oschły, gdyż jestem za dnia waszym nauczycielem... Lecz w nocy miejcie mnie za ojca. Czy zrozumieliście, synkowie dzielni? Czy zrozumieliśmy? W naszych oczach zabłyśły małe słońca radości lub małe księżycy wzruszenia. Po tych słowach kapitana wola poświęcenia i gotowość okazania chwały i dyscypliny mogły być tylko większe.

Dużo większe.

Już nie tylko dla króla.

Dla naszego kapitana także.

- Dziękujemy, panie – skłonił się Kuczm. – Hard Głazooki nie zapomni naszych bębnow.

- Nie zapomni! – poderwał się Padyzz na swych długich, raczej kosarza godnych kończynach.

Padyzz grał znacznymi kamieniami, bierkami i kręglami, ale miał charakter. Lubiliśmy go wszyscy i nikt nie wnosił pretensji o utracone w grze onuce, szelki, manierki, pasy i sztylety.

Mogorf pogłębił uśmiech i powiódł po nas spojrzeniem jeszcze cieplejszym.

- Jutro przy ostatnich dla was ćwiczeniach znów wydam się surowy, lecz wy będziecie wiedzieć, że każdemu życzę przetrwania. Jutro nauczymy się Sanny Anakondy i Zwijanego Skorpiona.

- Co to Zwijany Skorpion? – zapytał Defirr.

- Rytm odwrotu. Oba tych rytmów nauczę was z pomocą weterana Paleotusa.

- Po co nam rytm odwrotu? – zdziwił się ktoś i zdaje się, był to już wyszkolony wcześniej bębniarz. - Nie bębnimy tego od trzech lat...

- I właśnie dlatego trzeba przypomnieć - uciął sucho kapitan. - Rozkaz króla.

- Czy będzie bardzo ciężko? – chrząknął nieco zmieszany Kuczm, nie wiedzieć, myśląc o ćwiczeniach, czy samym starciu z wrogiem.

- Nie – pocieszył Mogorf. – Najgorsze za wami. Dziś mieliście przetrenować odporność ducha na śmierć towarzyszy z szeregu. Bo nawet, gdyby ktokolwiek z was miałby zostać na placu ostatni, jak legendarny Kabum, bicie w bęben nie może ustać. To bicie podwaja zapał, nadzieję i siły ewentualnie zdziśiatkowanym żołnierzom. A jeśli ich braknie, to przynajmniej ściąga posiłki we właściwy punkt. Jutro nie będzie już uodparniania na jatkę w szeregu.

Jedynie na walkę ze słabością organiczną. Chodzi o to, żeby wzrosła wasza odporność na ból i uderzenia. Jest tylko jedna religia dla bębniarza w czasie walki. NIC NIE MOŻE ZAKŁÓCIĆ JEGO RYTMÓW. NIC. – Przez chwilę milczał, poświęciwszy czas na przyglądanie się naszym twarzom. – Dlatego w trakcie trenowania Anakondy i Skorpiona przyłożę pałką temu i owemu. W nerki, w krocze, w nos... szczególnie zaś w ręce. W nadgarstki. W palce. A wam nie wolno wypuścić pałeczek z dłoni. Nie wolno sfalszować rytmu. Rozumiecie?

- Tak, panie – rzekł zdławionym głosem Padyzz.

Jako jeden z niewielu stał i jako jedyny chwiał się na nogach jak kosarz, któremu już przywalono pałką w krocze.

- No – instruktor skinął głową z satysfakcją. – Jeśli chodzi o wybijanie Zwijanego Skorpiona, to i tu nie może być mowy o fałszywym tonie. Groziłoby to chaosem: część oddziałów uchodziłaby z pola, część wznosiła szańce, część rozwijała natarcie... Oznaczałoby to pogrom o straszliwych dla kraju skutkach. Jedną prowincję już straciliśmy.

Przez 20 lat Jakobin będzie ojczyzną upiorów jęczących o zmierzchu.

Po tych słowach zapanowało pełne przygnębienia milczenie.

- Chcę iść w bój i wybębnić im śmierć – wycodziłem.

Mogorf odszukał mnie wzrokiem i uśmiechnął się.

- Wierzę w ciebie, synu. Bęben bije w twojej piersi od urodzenia, od razu to zobaczyłem. Mogę cię zapewnić: wszyscy Olagardczycy zginą pojutrze nieopodal, na Polu Lalczanym, gdzie uszykujemy zasadzkę i fortyfikacje.

- Panie – wyciągnął ramię Wuruk. – Mamy tylko jeden dzień na trening, a dwa rytmy aż... Czy zdążymy nauczyć się walki bronią?

Wszyscy wbili w kapitana niespokojny wzrok.

- Walki bronią, synu? – uniósł brwi instruktor.

- Nooo, klucia włócznią, szermierki...

- Nie będziecie tego ćwiczyć – uciął bez emocji Mogorf. – Nie dostaniecie też żadnej broni. Nie wolno wam zabrać nawet sztyletu na pole boju. Każdy przyłapany z bronią bębniarz zostanie natychmiast rozrąbany, a jego ćwiartkami wykarmię moje ratlery.

Znów zapadła cisza. Nie zabrakło w niej zawiesiny osłupienia.

Wuruk, jak zawsze, nie okazał przejęcia.

- Nie dostaniemy broni, panie? – zapytał odważnie. – Ale dlaczego? A co, jeśli zamkną nas w kotle?

Kapitan Mogorf pokręcił głową.

- Bębniarz ma obowiązek nieskończonego skupienia na rytmie. Na bębnie, który zastępuje mu serce. Pomyśl, synu, co stałoby się, gdyby rzeczywiście wróg zamknął was w kotle i podchodził coraz bliżej, wybijając chroniących was żołnierzy. Zaczęlibyście odczuwać lęk i rozterki: „A może by tak sięgnąć po miecz? Po sztylet?”. Gdybyście mieli takowe, co by się stało? Otóż odrzucilibyście bębny, bo instynkt każe bronić życia. Chwycilibyście za broń, to prawda. W rezultacie klęska spadłaby na całe wojsko. Bo gdy bębny milkną, przepada trans bojowy i wyczarowana niezłomność. Tak to się przedstawia. Waszą bronią są oddziały, którym wybijacie rytmy. Bez względu na to, jak blisko ujrzycie twarze Olagardczyków pojutrze, nie wolno wam przerwać rytmu. Rytm będzie stanowił o sile armii Wiletanii. Rozumiecie?

- Tak, panie – odparł spokojnie Wuruk i przysunął do siebie bęben.

Wszyscy spaliśmy ze swoimi bębnami. Stały się częścią naszego jestestwa.

- Dobrze. – Kapitan zrobił krok w kierunku wyjścia. – Pamiętajcie: jutro będę surowy, ale wojna jest surowa, a muszę mieć pewność, że przeciw Olagardczykom wyprowadzę najtwardszych bębniarzy świata. Ja sam bębniłem pod Arukłą, Wyszadarem i Erligolią.

Pod Erligolią!... W ciągu ostatnich kilkunastu lat wiletańskie wojsko nie przegrało ani jednej bitwy, raz było jednak bliskie klęski. Pod Erligolią. W tej bitwie wziął udział król Romb i omal nie zginął. Z dwudziestu bębniarzy tylko trzech przetrwało ostrzał znakomitych łuczników nieprzyjaciela. I ci trzech bębniarze z determinacją zagrali taki rytm, że poderwane rodzime wojsko odepchnęło wroga i ruszyło za nim w niepowstrzymany, trzytygodniowy marsz zniszczenia.

Trzech bębniarzy spod Erligolii. Nawet w mojej wsi mieli swój pomnik.

A kapitan Mogorf był jednym z nich.

Znów odczuliśmy wzruszenie i głód heroicznej walki.

- Spać, bębniarze moi – rzekł ciepło nasz nauczyciel.

Ale gdy wyszedł, nikt spać nie chciał. Przytulaliśmy bębny poruszeni do głębi.

- Jest nas wciąż ponad trzy setki – przypomniał Defirr. – A jutro nie będą już nas zabijać. To oznacza dla Olagardczyków tony ogłuszające. Zmiażdżymy ich.

- Zagramy? – zapytał „Kosarz” Padyzz. – Mam „Pchełki” z guzików galowych. Nieznaczone.

- Kłamiesz, druhu – zauważył ciepło Liklik, czesząc swoje długie platynowe włosy.

- Rzeczywiście – wyszczerzył zęby Padyzz.

Roześmialiśmy się wszyscy.

Kuczum zerknął ku mnie z sympatią.

- I co? – zapytał znowu. – Masz dziewczynę? Głaskałeś już łydki?

- Nie. Nie mam. Nie głaskałem łydek. Odkąd pamiętam, kocham tylko bębny.

- Niegłupie – wymruczał Kuczum. – Niegłupie... Aczkolwiek...

Defirr potoczył po nas zamyślnym spojrzeniem.

- Najważniejsze – powiedział – jest to, że jutro nie zginiemy z rąk własnej armii.

- Tak – skinął głową Wuruk. – Jutro ani jeden bębniarz nie padnie martwy.

- Ale co z tym głaskaniem łydek? – zapytałem nieco zaintrygowany. – Głaskałem moje bernardyny, gdy opuszczałem wieś. To było niezwykle. Odczułem wzruszenie. Czy z kobietą, gdy pogłaskam jej łydki, będzie tak samo?

Musiło to być naiwne pytanie, bo mimo powszechnego wycieńczenia namiot wypełnił śmiech. Ale pająkonogi Padyzz przyszedł mi w sukurs:

- Jeśli jest jakaś różnica, to sam chciałbym wiedzieć.

Kuczum i Defirr wymienili spojrzenia błyszczących oczu.

- Powiedźcie! Powiedźcie! – zawołało kilku najmłodszych.

- Ja nawet bernardyna nie głaskałem! – pożalił się ktoś.

Kuczum powstał, by wszyscy go dobrze słyszeli, lecz jego ciepły wzrok zatrzymał się na mnie.

- Mój towarzyszu anielski Udarku, i wy wszyscy, anioły królewskie. Zdradzę wam dziś tajemnicę przejścia do kosmicznego wierzchołka przez ciało kobiety.

- Mów, Kuczumie!

- Chcę bębnić dla króla, ale chcę także przeżyć tę wojnę, bo mam narzeczoną i razem co noc, i co dzień, wchodzimy na kosmiczny wierzchołek. Tajemnica jest prosta, wystarczy obudzić miłość. A gdy tak jest, idźcie taką drogą w górę: najpierw dotykajcie jej stóp.

- Stóp góry? – wydusił ktoś.

- Stóp ukochanej... Potem głaszczcie jej łydki. Potem zaś dotykajcie ud. Gdy to przejdziecie, na chwilę odbierze wam rozum, lecz jest to wskazane. Rozum wróci i wtedy to zobaczycie. Tę najniezwyklejszą ze zdobyczy.

- ...?

- Zmarszczone brwi kobiety.

- Zmarsz... Ze złości? – wyrwało mi się bezradnie. Wszak dotąd żyłem między kosztami, a łubiankami, marząc o bębnach wojennych.

- Udarku - Kuczm położył mi dłoń na ramieniu i przyjrzał jakby tkliwie, a może uroczyście. - Dwa razy kobieta marszczy brwi dla swego mężczyzny, zapamiętaj to. Raz, gdy go gani, drugi zaś raz, gdy... mężczyzna zabiera ją na kosmiczny wierzchołek. Kiedy już tak się stanie, kiedy ujrzysz zmarszczone brwi kobiety w tym drugim przypadku, twoje widzenie życia zmieni się na zawsze.

Milczałem zamyślony. Było to dziwne i ciekawe, ale nie tak, aby skupić moje marzenia. Ja marzyłem o triumfie i sławie wojennego anioła. Głaskać łydki... Zmarszczone brwi kobiety z przyczyn miłosnego spełnienia...? Nie, tej nocy nie odczułem jeszcze magii tych słów... A jednak już nadchodzący dzień miał przynieść zmianę także i dla tej sprawy w moim życiu. Niezwykłe są koleje życia na misji wojennej!

- I taka jest tajemnica miłosnego splecenia - zawtórował Defirr. - Najpiękniejszy widok w życiu męża to nie stos pogruchotanych wrogów, lecz zmarszczone brwi ukochanej na kosmicznym wierzchołku spełnienia. Nic - nic! - nie olśni was bardziej, wspomnicie me słowa. Jeśli taki widok się zdarzy, to znaczy miłość osadzoną w zbroi niezniszczalnej. Dobranoc, towarzysze.

Liklik, który swymi długimi włosami zauroczyłby połowę szlachcianek Wiletanii, leżał nieruchomo i patrząc w sufit, mruzczał:

- Dotykać stóp, to najpierw... Głaskać łydki, potem uda, popaść w obłąd i wtedy. Wtedy ujrzeć brwi zmarszczone.

Stopy, łydki, uda, obłąd, zmarszczone brwi... Zmarszczone brwi kobiety.

Myślę, że tajemnica, którą wyjawiał Kuczm - a większość z nas nie zaznała jeszcze miłości - niejednemu bębniarzowi była tej nocy balsamem, który ujął bólu i pozwolił zasnąć w kojącym marzeniu.

Stopniowo w namiocie zapadała cisza i tylko kilku jeszcze stękało, i jeszcze mniej kilku - z zadziwiającą lojalnością - modliło się do bogów, którzy zawiedli Jakobin.

- Jutro - wymruczał znów Wuruk - ani jeden bębniarz nie padnie martwy.

Z tym przekonaniem zasypiało się przyjemnie.

Tyle że było najzupełniej nieprawdziwe. Zapomnieliśmy o jednym istotnym szczególe. Bezpieczny trening obiecał nam nocny ojciec Mogorf.

Ale szkolenie prowadzić miał daleki od ojcowskich pieszczot instruktor. Surowo ciosany bohater spod Erligolii.

Kapitan Mastif.

[CDN]

Autor: hussair

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl